



12 Ameryka się zachwiała



18 Partia milczącej mniejszości



36 Maseczki pseudoochronne



84 Zakazane Zakopane

Tematy tygodnia

- 12 Tomasz Zalewski USA
Krajobraz po puczu
- 14 Martyna Bunda
Narodowe wyszczepianie

Polityka

- 18 Mariusz Janicki
Platforma Obywatelska – gorzka dwudziestka
- 22 Prof. **Włodzimierz Wróbel**, kierownik Katedry Prawa Karnego UJ, o tym, jak rządzący wykorzystują pandemię, by stanowić bezprawne prawo

Społeczeństwo

- 26 Rozmowa z **Katarzyną Kozłowską**, weteranką GROM, prezeską Fundacji #SayStop pomagającej molestowanym i mobbingowanym kobietom w mundurach
- 30 Mariusz Sepioło, Mateusz Witczak
Crunch, czyli o harówce twórców gier

- 32 Ryszarda Socha
Plaga naukowych plagiatów

Rynek

- 36 Violetta Krasnowska
Co kryją maseczki
- 39 Joanna Solska **Idea Bank: kto tu kłamie?**

Świat

- 42 Jakub Krupa **WIELKA BRYTANIA**
Brexit po trochu
- 45 Filip Gańczak **NIEMCY**
Kandydaci na miejsce Merkel
- 48 Artur Domosławski **ARGENTYNA**
Jak w kraju Franciszka zalegalizowano aborcję

Nauka i cywilizacja

- 50 Marcin Ryszkiewicz
Tajemniczy lud denisowian
- 54 Paweł Walewski
15 najważniejszych pytań o szczepionki

Historia

- 58 Tomasz Nałęcz
Rok 1921: powrót normalności
- 61 Andrzej Fedorowicz
Ostatni niemiecki jeńiec

Kultura

- 68 Jakub Demiańczuk
„Relax”: reaktywacja
- 71 Bartek Chaciński
Śmierć artysty zawodowego
- 74 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 76 KAWIARNIA LITERACKA **Pablopavo**

Na własne oczy

- 84 Marcin Piątek
Ferie pod specjalnym nadzorem

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 64 Afisz
- 78 Chutnik i Plebanek • 79 Hartman
- 80 Passent • 81 Tym • 82 Mizerski na bis
- 83 Do i od redakcji • 90 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Nienawistna osiemnastka

Wszystkich oburzył przypadek zmarnowania 18 dawek preparatu na znanych ludzi kultury i sztuki, którym się one nie należały. Rząd alarmuje, że dawki przepadły i nie da się ich już odzyskać. Opinia publiczna potępia artystów, którzy po zabiegu czują się niestety dobrze, dlatego pojawiły się sugestie, żeby nie podawać im drugiej dawki. Ewentualnie żeby zaszczerpione ręce podniesione na tych, którym preparat należał się w pierwszej kolejności, przykładnie odrąbać albo chociaż połamać. Nienawistna osiemnastka twierdzi, że o szczepienie się nie prosiła, ale to ją poproszono, żeby dała się zaszczerpować w ramach akcji promocyjnej. Akcja, mimo że nikt jej nie planował i z nikim nie uzgodnił, okazała się niebywałym sukcesem. Mówią o niej wszyscy, chętnych do zaszczerpiania przybywa, a wielu Polaków gotowych jest poddać się zabiegowi tylko dlatego, żeby przeznaczone dla nich dawki nie trafiły do aroganckich przedstawicieli jakichś elit. Utrata cennych dawek spowolniła akcję szczepień, która po kilku dniach znowu przyspieszyła, ukazując znajomą twarz Cezarego Pazury. Aktor został ambasadorem akcji i tłumaczy, że do szczepień zachęca, ale do nich nie namawia, bo „jeśli ktoś nie chce się szczepić, to trudno”. Sam się nie zaszczerpił, bo czeka na swoją kolej, co niestety u niektórych budzi



podejrzenia, że pan ambasador próbuje namówić na kontrowersyjny preparat naiwnych, a samemu się wykręcić. Nie ustalono, kto miał otrzymać dawki zmarnowane na znanych ludzi, ale wszystko wskazuje, że były one przeznaczone dla ludzi nikomu nieznanymi. I prawdopodobnie z powodu tego, że byli oni nieznani, nie udało się ich tymi dawkami zaszczerpić. Dziś wmawia się nam, że gdyby w ich miejsce nie ściągnięto ludzi znanych, preparat by się przeterminował. Możliwe, chociaż uważam, że zgodnie z zasadami prawa i sprawiedliwości lepiej byłoby, żeby się przeterminował, niż żeby roztrwoniono go na osoby, którym się nie należał.

Rząd znanymi ludziami nie ufa, dlatego trudno się dziwić, że sprawę walki z pandemią powierzył osobom bliżej nieznanym. Kupnem respiratorów za 200 mln zł zajął się np. nikomu nieznanymi handlarz bronią, na skutek czego do dzisiaj nieznanymi jest zarówno los tych respiratorów, jak i tych 200 mln. Nikomu nie są także znani winni transakcji. Znany jest jedynie los kierującego zakupem wiceministra zdrowia (został wiceprezydentem Chelma). Może w przyszłości wypłyną jakieś inne osoby zamieszane w przekręt, bo na to, że wypłyną respiratory albo wydana na nie kasa, raczej nie ma szans.



Izrael z Jordanią w 8 dni

Skarby Ziemi Świętej i relaks nad Morzem Martwym. Jerozolima – miasto tradycji, religii i historii. Podróż kulturowa do Petry.

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. Dz. 2 Jezioro Galilejskie. Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Nazaret. Dz. 3 Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. Przejazd do Jordanii. Jerash – „rzymskie miasto”. Dz. 4 Petra wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Amman. Dz. 5 Wjazd na Górę Nebo. Madaba – mozaiki bizantyjskie. Przejazd mostem Allenby do Izraela. Jerycho - Góra Kuszenia. Dz. 6 Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana płaczu”, Wzgórze Świętynne, Droga krzyżowa - Via Dolorosa, Bazylika Grobu Świętego, Wieczernik. Dz. 7 Betlejem – Kościół Narodzenia Pańskiego. Kąpiel w Morzu Martwym. Masada. Dz. 8 Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy

07/11 2021 **6.298,-**



Rejs po Sekwanie z Paryża do Normandii

Poznaj historię Paryża, katedry w Ruen oraz najpiękniejszych zamków i klasztorów w Normandii podczas wycieczki statkiem po najbardziej urokliwej rzece Europy.

W czasie tego romantycznego rejsu zobaczymy synne normandzkie plaże, zamek Ryszarda Lwie Serce Château Gaillard i imponujące klasztory St. Wandrille (Fontenelle) i St. Martin de Boscherville. Odwiedzimy też dom Claude'a Moneta w Giverny oraz ogród ze stawem porośniętym stawnymi liliami i podobnie jak Monet będziemy kontemlować imponującą fasadę gotyckiej katedry w Ruen oraz spacerować po wąskich uliczkach miasta. W Paryżu, który od wieków przyciąga malarzy, pisarzy, zakochane pary oraz turystów z całego świata będzie czas na zwiedzanie jego największych atrakcji na czele z Polami Elizejskimi czy wieżą Eiffla.

8 dni | Wylot z Warszawy 12/06 2021

7.498,-



Opera w Pradze i koncert kameralny

Wspaniała uczta dla ducha i ciała w jednym z najpiękniejszych miast Europy, potoczona ze zwiedzaniem Pragi.

Program wycieczki: Dz.1 Przejazd autokarem do Pragi. Kolacja powitalna. Dz. 2 Wycieczka po Zamku Praskim na Hradczanach oraz lunch w lokalnym pubie. Koncert kameralny: Smetana, Dvořák, Vivaldi. Dz. 3 Wycieczka po mieście oraz rejs statkiem po Wędrówce. Wieczór z operą „Carmen”. Dz. 4 Powrót autokarem do Polski.

4 dni | Wyjazd z Warszawy, Łodzi, Katowic 11/04 2021

2.248,-

Portugalia – z Lizbony do Porto

Zobacz największe atrakcje Portugalii: urokliwą Lizbonę, stylowe Cascais, historyczne Óbidos, sanktuarium w Fatimie, uroczę Porto i klifowe wybrzeże Atlantyku.

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Lizbony. Przejazd do Nazaré. Dz. 2 Klasztor Cystersów w Alcobaça. Fatima. Mury obronne w Óbidos. Klasztor Matki Boskiej Zwycięskiej w Batalha. Dz. 3 Miasto uniwersyteckie Coimbra. Porto - katedra i dzielnica Ribeira. Dz. 4 Czas wolny w Porto. Dla chętnych wycieczka „Braga i Guimarães” (dodatkowo płatna). Dz. 5 Baśniowa Sintra. Widoki z Cabo da Roca. Przyjazd do Cascais. Dz. 6 Lizbona: dzielnice Alfama i Belém, klasztor Hieronimitów. Dz. 7 Wylot z Lizbony do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 30/05, 20/09 2021

4.848,-



Rezerwuj bez ryzyka - Gwarancja Bezpieczeństwa Albatros przy rezerwacji do 31 stycznia 2021! Możliwość bezkosztowej anulacji i zwrot wpłaconej zaliczki lub zmiana rezerwacji na inną podróż. A to wszystko do 60 dni od założenia rezerwacji! Szczegóły na www.albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 74
Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL01

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

[Kup bilet](#)

Gęsi kapitolieńskie



Jerzy Baczyński

Po raz pierwszy pomyślałem, że dzięki temu, że wybory prezydenckie w Polsce wygrał Andrzej Duda, być może uniknęliśmy jeszcze gorszego scenariusza niż sama prezydentura Dudy. Ewentualna, nieznaczna, wygrana Rafała Trzaskowskiego zapewne nie zostałaby uznana przez PiS. Przypomnijmy, że Jarosław Kaczyński nigdy nie zaakceptował „wybranego przez nieporozumienie” prezydenta Komorowskiego. Że w 2014 r. rzucał agresywne oskarżenia o, nigdy niepotwierdzone, fałszerstwa wyborcze, mówiąc słowo w słowo to, co teraz Donald Trump. Że to było dawno? No więc przypomnijmy sobie, jakie przygotowania czynił obóz rządowy, aby zapewnić reelekcję Dudy. Forsowanie majowych wyborów, w których „ludzie Sasina”, pomijając Państwową Komisję Wyborczą, mieli organizować pocztowe głosowania, zbierać, przewozić i liczyć głosy. Na chybką zmieniono skład PKW, powołana została w trybie niekonstytucyjnym nowa Izba Sądu Najwyższego, mająca rozpatrywać protesty i orzec o ważności głosowania. Gdyby i to zawiodło, o nielegalności wyboru Trzaskowskiego mógłby zdecydować Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej, wezwany np. do rozstrzygnięcia „sporu między instytucjami państwa”. Kto powie, że to niewyobrażalne?

Jeśli sytuacja w Polsce i USA jest nieporównywalna, to raczej na polską niekorzyść. Po tym jak Donald Trump sprowokował atak swoich zwolenników na Kapitol, odwrócili się od niego wpływowi działacze Republikanów, łącznie ze „zdrajcą” wiceprezydentem Pence’em. Oczywiście, że byli współwinni, bo przez lata koniunkturalnie tolerowali kłamstwa i nadużycia Trumpa, ale jednak w końcu – używając historycznej metafory – hałas „gęsi kapitolieńskich” ocknął ich z ciężkiego snu. Wcześniej sądy, łącznie z Sądem Najwyższym, gdzie przeważają nominaci Trumpa, odrzuciły, jedną po drugiej, jego skargi na urojone wyborcze oszustwa (relacja z USA na s. 12). Media społecznościowe Twitter i FB zablokowały wpisy prezydenta, nawet Fox News, uważany przez lata za „prawicową szczytnię”, potępił „atak motłochu” na Kapitol. Jak powiedział Joe Biden, demokracja jest krucha, ale amerykańskie instytucje, zwłaszcza wymiar sprawiedliwości, obroniły honor Ameryki. Obroniłyby w Polsce? Nie wiem; wygląda jednak na to, że u nas proces demontażu demokracji, jej zdolności do samoobrony, zaszedł znacznie dalej niż w USA.

Demokracja, według jednej z klasycznych definicji, to system, który pozwala w pokojowy sposób zmieniać liderów i rządy. Wszyscy populiści świata, występując zawsze w imieniu wartości wyższych niż praworządność – bo w imię ludzi pracy, Boga, Kościoła, rodziny, sprawiedliwości dziejowej, przywrócenia zabranej potęgi i godności narodu, przeciw skorumpowanym elitom itp. – raczej dobrowolnie władzy nie oddają. Historia podpowiada, że odchodzą tylko w sytuacji dramatycznego kryzysu gospodarczego, wewnętrznego rozpadu swoich formacji lub niekontrolowanego buntu mas. Przywódca naszych trumpistów Jarosław Kaczyński wielokrotnie potwierdzał, że demokratyczne procedury i instytucje ma za nic, że muszą one poddać się woli politycznej, a wszystkie zasoby państwa wolno wykorzystywać dla utrzymania władzy. Cała historia minionego

pięciolecia, którą opowiadamy na tych łamach w cotygodniowych odcinkach, jest właśnie o tym: o przejmowaniu państwa przez „charyzmatycznego lidera” i jego partię. Nie mamy więc złudzeń – PiS wykorzysta wszystkie sposoby, także pozaprawne i bezprawne, aby w przyszłości utrzymać się przy władzy.

Warto patrzeć na Amerykę jak na polityczne laboratorium. Kaczyński jest w polskiej polityce obecny od ponad 30 lat, więc jego i jego drużynę traktowaliśmy jako nasz lokalny historyczny wytwór. Tymczasem Trump, który objawił się w polityce dopiero przed kilku laty, pokazał nam populizm w wersji turbo, skondensowanej, spektakularnej, odsłaniając przy okazji uniwersalne mechanizmy wszelkich tego typu rządów. Co zobaczyliśmy? Że realne problemy, napięcia, nierówności społeczne są przez lidera-narratora zamieniane na opowieść o kraju w ruinie, w którym za wszelkie nieszczęścia odpowiadają wyobcowane elity, okradające i poniżające prostych ludzi. Receptą jest zatem odsunięcie owych „złych ludzi” od władzy, zastąpienie ich dobrymi, powrót do dawnej wielkości i dawnych wartości (czyli MAGA – Make America Great Again). Osiągnięcie tego wielkiego celu wymaga nieustannej czujności i walki, gdyż zaciekle opór stawiają liczni i wpływowi wrogowie, często ukryci. Stąd nieodłączną składową populizmu są teorie spiskowe. W USA zaczęło się od Tea Party i powielanych także przez Trumpa opowieści o nielegalnym, bo urodzonym w Kenii, prezydencie Obamie. Za kadencji Trumpa spiskowe teorie przybrały formę najpierw internetowego, a teraz także społecznego ruchu o nazwie QAnon, skupiającego miliony ludzi przekonanych o istnieniu „głębokiego państwa” lewaków, satanistów i pedofilów, którzy zamierzają zniszczyć Amerykę. To głównie przedstawiciele Q, jako nowi prawdziwi patrioci, zasiedli w fotelach zdobytego Kapitolu.

Zdumiewające, jak bardzo towarzysząca nam od lat retoryka Kaczyńskiego okazała się prekursorska wobec QAnonu. Przecież już w 2005 r. mieliśmy tajemniczy, nigdy nieodkryty Układ, rządzący Polską. Potem był wielki spisak smoleński („Zabiłiscie mi brata!”); kraj ograbiony na 500 mld zł (tak głosił słynny pisowski audyt z 2015 r.); finansowana przez Żyda Sorosa destrukcyjna imigracja muzułmanów do Europy; spiski zwolenników LGBT – w gruncie rzeczy pedofilów żądających adopcji i seksualizacji dzieci – oraz orędowników „prawie przymusowej eutanazji”; wymagające czynnej obrony ze strony „patriotów” ataki na kościoły itd. Nawet ze szczepionkami – też do końca nie wiadomo, czy to nie konspiracja – w każdym razie elity znów się skompromitowały (o tzw. g...burzy w sprawie szczepień więcej na s. 15). Niewątpliwie ciąg dalszy tych rojeń nastąpi – bo, jak pisze o trumpistach „The Economist”, bezwiednie przywołując głośną frazę Kaczyńskiego, „jeśli brak na spisek dowodów, to znaczy, że zostały one zniszczone lub ukryte”.

Dlaczego ludzie w to wierzą? Dużo jest na ten temat teorii: od osobniczych skłonności, powszechniejszej ignorancji, poszukiwania „racjonalnych” wyjaśnień dla coraz mniej zrozumiałej rzeczywistości, po żądę odwetu na elitach, aż do potrzeby narodowej dumy, silnej tożsamości, uwznioślenia własnego życia. Niewątpliwie, i tu przynajmniej panuje zgoda, ogromny udział w szerzeniu paranoicznej wizji świata mają nowe media, fake newsy, czarny internet (polecam wydaną właśnie przez POLITYKĘ bestsellerową książkę Julii Ebner „Coraz ciemniej. Ekstremiści w sieci”). Propaganda, media, to kluczowy, najcenniejszy dla populistów instrument panowania, bo pozwalający rozciągnąć je nad umysłami. Zwróćmy zresztą uwagę, co się u nas dzieje: nie tylko z TVP, ale z tzw. Orlen Press, wokół Radia Zet, planów wykupu TVN24 itd.

Tak, Stany to laboratorium. Tak, zwycięstwo Bidena – a zwłaszcza to, na ile uda mu się odbudować szacunek Amerykanów do siebie i własnego państwa, wyhamować medialny potok nienawiści i kłamstw, obniżyć społeczne napięcie, racjonalizować politykę – to będzie ważna lekcja i prognoza dla nas. Patrzymy więc na Amerykę. I trzymajmy kciuki za Joe Bidena.



Agorafobia władzy

Prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów **Tomasz Chróstny** odmówił zgody na przejęcie spółki Eurozet, do której należy Radio Zet, przez Agorę, polską grupę rozrywkowo-medialną, wydawcę „Gazety Wyborczej”. Powód?

Transakcja mogła doprowadzić do powstania radiowego duopolu – podano w komunikacie. Lider prywatnego rynku radiowego, czyli RMF FM, oraz Agora, gdyby przejęła Eurozet, posiadaliby łącznie ok. 70 proc. udziału w rynku. Agora byłaby zbyt silna i mogłaby ograniczać konkurencję na rynku reklamy radiowej, szczególnie w Legnicy, Poznaniu i w Zielonej Górze. Agora zapowiedziała odwołanie do sądu. Uznała, że decyzja prezesa UOKiK została wydana z naruszeniem prawa i kompromituje urząd. Chroni konkurentów Agory, a nie konkurencję.

Zablokowanie przejęcia Eurozet przez Agorę nie było niespodzianką. Rynek spodziewał się tego od chwili, gdy w negocjacjach dotyczących zakupu nadawcy Radia Zet odpadli konkurenci, którym PiS kibicował, zwłaszcza zaś Fratria, wydawca tygodnika „Sieci”. To spółka należąca do braci Karnowskich i firm kontrolowanych przez senatora Grzegorza Biereckiego. Dlatego decyzja szefa UOKiK została przez ekspertów powszechnie uznana nie jako dowód troski o wolny rynek, a przeciwnie – jako dążenie władzy do jego monopolizacji. Trwa bowiem wojna PiS z niezależnymi mediami, której celem jest orbanizacja, czyli dociskanie ich metodami ekonomicznymi i prawnymi, by mogły zostać przejęte przez państwowe spółki lub sprzyjających władzy biznesmenów. Wykupienie przez PKN Orlen wydawnictwa Polska Press i stworzenie partyjno-rządowego monopolu na rynku prasy lokalnej, od ich wydawania, przez dystrybucję,

po dom mediowy gospodarzący budżetami reklamowymi wszystkich firm państwowych, jest milowym krokiem na tej drodze.

W normalnych czasach, gdy prezesami UOKiK byli twórcy polskiego prawa antymonopolowego – tacy jak prof. Anna Fornalczyk czy prof. Andrzej Sopoćko – decyzja o zakazie koncentracji wywołałaby zapewne dyskusję, ale głównie wśród prawników i ekspertów gospodarczych. Dziś jest inaczej, bo UOKiK kieruje mgr Tomasz Chróstny, młody (35 lat) i ambitny urzędnik, z wykształcenia specjalista od rachunkowości, którego na to stanowisko ze swojej kancelarii wysłał premier Morawiecki. Choć Chróstny deklaruje, że jest niezależnym nadzorcą rynkowym niezwracającym uwagi na kontekst polityczny, jego decyzje precyzyjnie wpisują się w politykę partii i rządu. Stara się kreować na szeryfa, zabiega, by UOKiK uzyskał uprawnienia zbliżone do służb specjalnych. Sypie karami, szczególnie surowymi, jeśli spadają na tych, których władza chętnie by się pozbyła – na zagraniczne banki i spółki, a nawet na konkretnych menedżerów. Ostatnio spółka Jeronimo Martins, właściciel sieci Biedronka, dostała 723 mln zł kary; jednak rekordem była kara nałożona na Gazprom – 29 mld zł. Choć w sądach rzadko utrzymują się takie decyzje, liczy się efekt medialny i mrozący wobec zagranicznych inwestorów.

Wiele łaskawiej prezes patrzy na działalność biznesu państwowego, który pracownicy tworzą monopol, zwłaszcza w branży paliwowo-energetycznej. Wkrótce oczekiwane jest wydanie decyzji w sprawie przejęcia przez Orlen spółki Polska Press. Żaden z ekspertów nie spodziewa się, by Orlen został potraktowany jak Agora. Gdyby do tego doszło, byłaby to zapewne jedna z ostatnich decyzji mgr. Chróstnego. Niezależność rynkowych policjantów, takich jak szefowie UOKiK, UKE, URE, KRRI, należy do zamierzonej przeszłości.

ADAM GRZESZAK

Jak nie pałąk, to mandatem

PiS wymyślił, jak zniechęcić do łapania bezprawnie lub wadliwie wprowadzonych pandemicznych zakazów, nakazów i ograniczeń – w tym konstytucyjnej wolności zgromadzeń. Wszystko pod zbożnym hasłem odciążania sądów. Tymczasem sądy orzekają właśnie o niekonstytucyjności mandatów nakładanych wiosną, więc ludzie przestają się zakazami przejmować: demonstrują przeciw władzy, otwierając hotele czy studia fitness. Teraz będą za to płacić. A potem latami walczyć w sądzie o zwrot pieniędzy za mandat.

Do Sejmu wpłynął bowiem pisowski projekt zmiany prawa o wykroczeniach. Teraz mandat karny wymierzony przez policję – w tym drogową, straży miejską czy inny uprawniony organ – będzie płatny przed odwołaniem do sądu, a nie po. (Przy czym odwołanie przysługuje nie tyle do sądu, co do referendarza, czyli urzędnika sądowego niemającego gwarancji niezawisłości). Na odwołanie będzie siedem dni. Odwołując się, trzeba będzie przedstawić wszystkie dowody na swoją korzyść. I na tym koniec: w trakcie postępowania przed sądem innych dowodów już nie będzie można przedstawić. W języku prawniczym to tzw. prekluzja dowodowa – stosowana czasem i jak na razie tylko w postępowaniu cywilnym. W postępowaniu wykrocinowym będzie się to sprowadzało do tego, że na dowody, które przedstawi przed sądem policja, ukarany mandatem już nie będzie mógł odpowiedzieć.

Tak więc PiS zamierza stworzyć postępowanie karne, w którym nie obowiązuje zasada domniemania niewinności – bo kara wymierzana i egzekwowana będzie przed postępowaniem ustalającym winę, a podsądny będzie musiał dowodzić swojej niewinności. Nie będzie obowiązywać zasada sądowego wymiaru kary, ponieważ za wymierzanie będzie przez organ pozasądowy: policję, a odwołanie będzie rozpatrywał urzędnik sądowy. A za pomocą wspomnianej prekluzji dowodowej zostanie ograniczone prawo do obrony.



Dla Skarbu Państwa to czysty zysk: pieniądze z grzywien ma natchmiast, a jeśli kiedyś przyjdzie je zwrócić, to przecież będzie nimi obracał przez rok-dwa. Po drugie: mniej ukaranych odwoła się do sądu, skoro i tak będzie musiał od razu płacić.

Jarosław Gowin zapowiada, że jego ugrupowanie projektu nie poprze, więc być może PiS z czegoś „spuści” – np. z rozpatrywania spraw mandatów przez referendarza. Ale niewiele to pomoże, bo projekt, naruszając zasady procesu karnego, jest konstytucyjnie wątpliwy. W dodatku po wejściu w życie obecnej konstytucji zlikwidowano kolegią ds. wykroczeń, argumentując, że w zgodzie z konstytucją o wykroczeniu może orzec jedynie sąd. Teraz w pierwszej instancji orzekać będzie policja. Wcześniej czy później ten problem trafi – np. w formie pytania prawnego sądu – do Sądu Najwyższego. Ale płacić będzie trzeba, bo niezapłacenie – w rządowym projekcie – oznacza kolejne wykroczenie. I kolejną karę. Jak zauważa prof. Ewa Łętowska, tak właśnie w praktyce realizuje się państwo policyjne.

EWA SIEDLECKA

Duda fika

Jeden z ważnych polityków PiS ironizuje w rozmowie z nami, że trzeba było stworzyć Andrzejowi Dudzie stoki narciarskie, to nie robiłby dziś zamieszania, bo jeszcze siedziałby w rezydencji w Wiśle. W minionym tygodniu prezydent bez konsultacji z PiS oznajmił, że odpowiednim kandydatem na rzecznika praw obywatelskich byłby Jan Maria Rokita. Choć PiS już zgłosił swojego kandydata. Duda ogłosił też zmiany w swojej kancelarii, które również nie spodobały się na Nowogrodzkiej. Na wiceszefa Kancelarii Prezydenta awansował Piotr Ćwik, który kilka miesięcy temu na polecenie prezesa PiS musiał oddać tekę wojewody małopolskiego. To zaufany Beaty Szydło, która namawia prezydenta do budowania frakcji uprzykrzającej życie premierowi Morawieckiemu, a w przyszłości mogącej zawalczyć o przejęcie przywództwa po Kaczyńskim. Przy okazji Paweł Mucha, który polecał ze stanowiska wiceszefa kancelarii, bo Duda stracił do niego zaufanie, miętko i z większą pensją wylądował w gabinecie doradcy prezesa NBP Adama Glapińskiego. Nowym szefem gabinetu prezydenta po Krzysztofie Szczerskim został zaś Paweł Szrot, od czasów premier Szydło aż do ostatniej jesieni wiceszef Kancelarii Premiera, zaufany Kaczyńskiego. Zastąpił Krzysztofa Szczerskiego, który ma budować przy prezydencji – jak to ujął – „dyplomatyczny BBN”. – *Szczerski doradził Dudzie tweeta po wydarzeniach na Kapitolu. Ograniczenie się do stwierdzenia, że to wewnętrzna sprawa Stanów Zjednoczonych,*



nie spodobało się nawet na Nowogrodzkiej – mówi polityk PiS.

Paweł Szrot dwa miesiące temu przeszedł do Dudy, aby zadbać o lepszą współpracę z centralą przy Nowogrodzkiej i z otoczeniem Morawieckiego. Jak dotąd nic z tego nie wyszło, może tylko tyle, że zanim Duda ogłosił publicznie, że zawetuje ustawę o działach administracji rządowej, to wcześniej poinformował o tym premiera. To pierwsze weto Dudy w tej kadencji. Na ustawie zależało Kaczyńskiemu, ale prezydent zablokował wprowadzenie podziału kompetencji między ministerstwami, który ustalono w czasie jesiennej rekonstrukcji. Oficjalnie z powodu wyłączenia leśnictwa i łowiectwa spod nadzoru resortu

środkowiska i przekazanie go do Ministerstwa Rolnictwa, a także skrócenia *vacatio legis*. Jednak, jak przyznają w rozmowie z POLITYKĄ dwaj politycy związani z obozem władzy, to weto to odroczone zemsta prezydenta za przywrócenie Jacka Kurskiego na prezesa TVP. Przypomnijmy: kilka miesięcy temu Duda zażądał głowy Kurskiego i od tego uzależnił podpis pod ustawą o przekazaniu 2 mld dla TVP. Uważa, że telewizja zbyt lekceważąco traktuje jego prezydenturę. Kurski formalnie odszedł na kilka miesięcy, ale został doradcą zarządu i wciąż rządził telewizją, a po wyborach prezydenckich wrócił na fotel prezesa. Duda uznał to za upokorzenie. Prezydent liczy, że kolejna ustawa o dodatkowym wsparciu dla TVP będzie nową okazją do pozbycia się Kurskiego. – *Ale Kura to sprytniejszy gracz i wymyślił, żeby wpisać dotację dla telewizji do ustawy budżetowej na ten rok, której Duda nie może zawetować. Andrzej się wkurzył i zawetował nam ważną dla działania rządu ustawę o działach. Takie to są gierki o to, kto kogo – mówi zorientowany polityk PiS.*

Niektórzy nasi rozmówcy z partii uważają, że Duda ulega Szydło, która chce wrócić do polskiej polityki. Dodają, że Kaczyński już zdał sobie sprawę, że w tej kadencji nie będzie miał z Dudą tak łatwo. – *Ale Andrzej nie zdobędzie szacunku prezesa, bo wszyscy widzą, że prezydenckie otoczenie jest zbyt słabe, aby zbudować jakąś wizję ciekawej prezydentury, polityczne zaplecze i ofertę ciekawej współpracy dla Jarosława Kaczyńskiego. Będą więc fochy, groźby weta, ale prezes poradzi sobie z Andrzejem – mówi osoba z otoczenia szefa PiS. (DĄB.)*



Komu przeszkadzają kobiecie piersi

Marcelina Zawisza, posłanka Lewicy, podczas ostatniego posiedzenia sejmowej komisji zdrowia zadała ministrom Dworczykowi i Niedzielskiemu 23 pytania. O promowanie szczepień, plan osiągnięcia w Polsce odporności zbiorowej czy redystrybucję niewykorzystanych

szczepionek. Szerszą uwagę przykuło jednak co innego – w trakcie dyskusji karmiła swojego kilkumiesięcznego syna piersią. I jej nie zasłoniła. Najpierw zapalił się Twitter, gdzie zdjęcie posłanki z dzieckiem opublikował dziennikarz Polsatu, a potem lawina ruszyła. Głos w sprawie tego, gdzie można, a gdzie nie można karmić dziecka, zabrali posłowie, obrońcy życia z hashtagem #BabiesLivesMatter, nawet akademicy. Rozpisywano się o braku kultury osobistej, ekshibicjonizmie, inni pytali: „Naprawdę nie miała gdzie zostawić tego bobasa?”.

– *Od 10 lat toczy się batalia o to, by móc karmić w przestrzeni publicznej, i gdy wydaje się, że udało się zapewnić matkom podstawowy komfort, okazuje się, że to przedwczesne prognozy – odpowiada Zawisza. I dodaje: – Roznegligiowane kobiety reklamują prawie wszystko. Od trumien, przez warsztaty samochodowe, po głód z pacholów. I to nikomu nie przeszkadza, a karmienie głodnego niemowlaka, który przecież nie poczeka, to wciąż powód do oburzenia. Do posłanki zaczęły się*

odzywać matki, które przeganiano z miejsc publicznych – parków, centrów handlowych, autobusów. – *Dla nich to, co robię, to normalizowanie karmienia piersią. I takich wiadomości mimo wszystko ostatnio dostaję najwięcej – przyznaje Zawisza.*

W kompleksie sejmowym jest tylko jeden pokój dla karmiących matek – w hotelu poselskim. Żeby dotrzeć tam z obrad komisji lub z sali plenarnej, trzeba wyjść na zewnątrz albo przejść podziemiami, pokonując z wózkiem schody. Zajmuje to 15 minut w jedną stronę. Pokój dla rodzica przydałby się więc bliżej centrum życia poselskiego. Zwłaszcza że swoich potomków na Wiejską zabierają także inne posłanki, jak Daria Gasek-Popiołek, Aleksandra Gajewska, Kornelia Wróblewska czy Anna Maria Siarkowska z PiS. Nawet Robertowi Winnickiemu zdarzyło się zabrać syna do pracy. Pewnie dlatego w dyskusji o karmieniu piersią poparł (pierwszy i ostatni raz w życiu?) posłankę Lewicy. (AGSZCZ)

Skutki szczepionkowego wzburzenia

Ludwik Dorn

Przez ostatni tydzień najważniejszym wydarzeniem na froncie walki z pandemią okazała się tzw. afera szczepionkowa, czyli zaszczepienie byłego premiera i grupy aktorów poza kolejnością, bo spoza „grupy 0”. Przez polityczny komentarz i media społecznościowe przetoczyło się tsunami moralnego oburzenia. Ponieważ w czasie tzw. afery zaszczepiono ponad 100 tys. osób, to w każdym aspekcie sprawa jest błaha, a komentarz i fejsbukowicze oburzenia się, bo nie ma tańszego sposobu zapewnienia sobie dobrego samopoczucia niż moralne oburzenie. No i dobrze, no i na zdrowie, ale sprawa przestała być błaha, kiedy moralnie oburzył się obecny premier, wypowiadając takie oto słowa: „Nie ma żadnego uzasadnienia dla łamania zasad. Każda dawka szczepionki przekazana z naruszeniem harmonogramu to dawka, której może zabraknąć osobom najbardziej potrzebującym”. Szef Kancelarii Premiera minister Dworczyk zdiagnozował przyczyny moralnego skandalu: „Za bardzo zaufano osobom organizującym szczepienia i oddano zbyt dużo decyzji w ręce czy to dyrektorów szpitali, czy to właśnie osób organizujących szczepienia na poziomie szpitali”. Nadmieniał także, że jeśli chodzi o organizację i logistykę, wszystko jest na medal i można by szczepić o wiele więcej osób, ale problemem jest brak szczepionek.

Sprawa przestała być błaha, bo z jednej strony rząd, szermując retoryką walki z „elitami” w imię ochrony „zwykłego Polaka”, któremu elity podiwianają szczepionki, szykuje na siebie i PiS pułapkę polityczną (co miłe), a z drugiej – tworzy mechanizm, który może znacząco opóźnić czas uzyskania przez populację odporności stadnej (co jest niemiłe).



Rzecz bowiem polega na tym, że w przypadku szczepionki wyprodukowanej przez firmę Pfizer jej przydatność do użycia po rozmrożeniu z ultraniskich temperatur wynosi pięć dni. Pod koniec tego okresu pojawia się więc zagrożenie zmartnowania szczepionek, na które nie ma zarejestrowanych chętnych. I problem: czy łamać kryteria przydziału i szczepić osoby spoza wyznaczonej grupy, czy też wylewać komisyjnie szczepionki do zlewu? W „grupie 0” jest to problem niewielki, bo obejmuje ona

zawody medyczne – ludzi o wyższej świadomości zdrowotnej i bardziej zdyscyplinowanych. Kiedy zaczną się szczepienia seniorów, sprawa stanie się poważna; zdrowy rozsądek podpowiada, że wielu z nich będzie zmieniać zdanie w ostatniej chwili i spóźniać się do punktów szczepień. Z tym problemem zderzyli się Francuzi – z powodu zbyt wyśrubowanych kryteriów dostępu do szczepionki publiczne szacunki mówią o 25–30 proc. zmartnowanych dawek.

Narzucającym się rozwiązaniem jest uelastycznienie kryteriów dostępności i poluzowanie procedur oraz dekoncentracja procesu decyzyjnego, gdy pojawi się zagrożenie zmartnowaniem części z pięciodniowej transzy rozmrożonych szczepionek. Z wypowiedzi panów Morawieckiego i Dworczyka wynika, że rząd idzie w przeciwną stronę: centralizacji i usztywnienia. Kierownicy punktów szczepień mogą zatem stanąć przed dylematem: czy wobec zagrożenia zmartnowaniem szczepionek szczepić z łapanek po znajomych, którzy karnie na termin się stawiają, i narazić się na moralne potępienie i sankcje dyscyplinarne, czy też szczepionki zutylizować, o co nikt pretensji mieć nie będzie. Wiadomo, jak większość z nich wybierze. Da to asumpt do moralnych potępień piśmowskiej władzy, ale realnym skutkiem będzie rozciągnięcie w czasie procesu szczepień i wzrost kosztów.

POLITYKA: 30 lat samodzielności

Przechodzenie **po 1989 r.**

z PRL do wyłaniającej się III RP polegało między innymi na zastąpieniu wcześniej hegemonicznego koncernu wydawniczego, czyli RSW Prasa-Książka-Ruch (90 proc. rynku prasy), jakimś nowym ładem medialnym. Powołana w kwietniu 1990 r. Komisja Likwidacyjna RSW szukała rozwiązań kompromisowych wobec różnorodnych interesów – w tym oczywiście politycznych – oraz wartości i dorobków. Do najważniejszych decyzji Komisji należała ta pozwalająca na możliwość przejścia nieodpłatnie wybranych tytułów przez ich dotychczasowych pracowników (min. połowę), ale wyłącznie poprzez założenie spółdzielni pracy. Z takich możliwości skorzystało 70 (na 178) tytułów. Większość



Zespół POLITYKI w 1990 r.

z nich dość szybko zaczęła, jak tylko pojawiły się takie możliwości i okazje, przekształcać się w inne formy i własności (nie zawsze, powiedzmy, w sposób elegancki). Jako spółdzielnia dziennikarska najdłużej działała

POLITYKA (do 2013 r.), przekształcona potem w pracowniczą Spółkę Komandytowo-Akcyjną z o.o. 11 stycznia 1991 r. formalnie powstała Spółdzielnia Pracy POLITYKA – a więc mamy okrągłą 30. rocznicę.

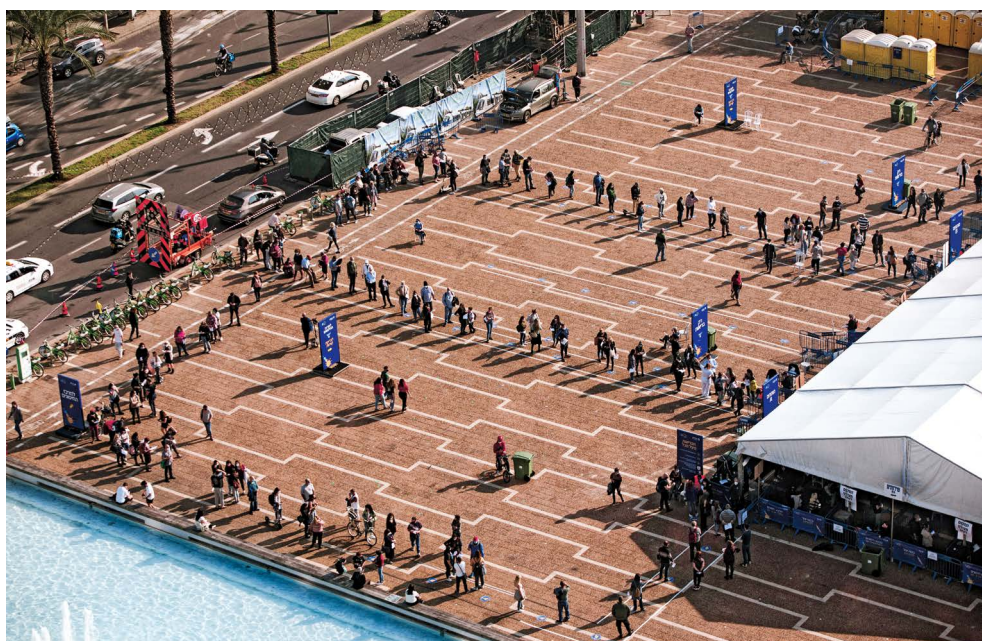
POLITYKA wbrew stawianym później przez prawników media oskarżeniom w 1991 r. nie została potraktowana inaczej niż przekształcane wtedy redakcje. Pod żadnym względem nie została uprzywilejowana – np. jej środki trwały i niewielkie pieniądze na koncie łącznie nie były w stanie pokryć zobowiązań, czyli spłacić długów spływających na Spółdzielnię z remanentów poprzedniego wydawcy. By trwać i stanąć

do konkurencji na nowym rynku, Spółdzielnia zaciągnęła pożyczkę, którą następnie spłaciła w kilku ratach co do grosza. To już była nowa historia pisma w nowej Polsce i trwa do dzisiaj. (W.W.)

Izrael potrafi

Jedna piąta społeczeństwa w niecałe trzy tygodnie: tak wysokiej sprawności szczepień Izraelowi zazdrości reszta świata, która dystrybuje szczepionki przeciętnie 66 razy wolniej, nawet państwa zamożne i wysoko rozwinięte dały radę zaszczyć 1–2 proc. swoich obywateli. Rząd dziewięciomilionowego państwa liczy, że tempo uda się jeszcze podkręcić, ze 150 do 200 tys. osób dziennie. Premier Benjamin Netanjahu, który przyjął już drugą dawkę, zapewnia, że to Izrael jako pierwszy pozbędzie się koronawirusa, w marcu miałyby być po wszystkim.

Wynik jest pochodną przygotowań, w tym wczesnego zaklepania preparatów, choć kosztem wysokiej ceny, płacono nawet trzy razy więcej niż w USA i Unii Europejskiej. Zresztą pośpiech sprawia, że najpoważniejszym wyzwaniem stała się regularność dostaw, np. koncern Pfizer zobowiązał się dostarczać 400–700 tys. dawek tygodniowo. Na plus działa niewielki rozmiar kraju i wydajność branży logistycznej, która potrafi zaopatrywać także najmniejsze punkty szczepień. Do tego dyscyplina z militarnego społeczeństwa oraz elastyczne podejście do grup z pierwszeństwem, w kolejkach obok najstarszych i medyków mogli ustawiać się młodzi, co pomaga nie marnować dawek. No i przede wszystkim bardzo solidny publiczny system zdrowia, który daje radę bez zbędnej biurokracji prowadzić łatwo dostępne, całodobowe centra zorganizowane na stadionach i placach.



Kolejka do masowych szczepień, telawiński plac Rabina.

Sukces ma jednak drugą stronę: od końca grudnia trwa dwutygodniowy lockdown, bo koronawirus też robi szybkie postępy, na przełomie roku przybywało po kilka tysięcy przypadków, w sporej części wśród społeczności ortodoksyjnych. Dopiero w lutym szczepionki dotrą do Autonomii Palestyńskiej, na Zachodni Brzeg i do Strefy Gazy – izraelskie ministerstwo zdrowia odrzuciło nawet wniosek, by pomóc w szczepieniu pracowników

palestyńskiej służby zdrowia. Jakby tego było mało, 23 marca Izraelczycy znów pójść do urn. W czwartych w ciągu dwóch lat wyborach próbują wyłonić stabilną większość w Knesecie i osądzą, czy Benjamin Netanjahu, na którym ciąży szereg zarzutów, w tym korupcyjnych, powinien po 12 latach rządów stracić władzę i tym samym zdolność do unikania odpowiedzialności karnej. To też rozstrzygnie się w marcu.

Stany Kirgistanu

Kirgistan, jako jedyny na tle innych sąsiednich „stanów”, ma w miarę sprawną demokrację, która w dodatku często dokonuje się na ulicy. **Sadyr Dżaparow**, który właśnie zwyciężył w przyspieszonych wyborach prezydenckich, zdobywając pewne 80 proc. głosów, jeszcze cztery miesiące temu siedział w więzieniu. Uwolnił go stamtąd tłum, jak i poprzedniego prezydenta Atambajewa. Wcześniej w wyborach zwyciężył ówczesny prezydent Dżeenbekow (trochę to wszystko skomplikowane), ale lud uznał je za sfałszowane i przekupione – i w wydarzeniach, które przeszły do annałów jako rewolucja październikowa, odsunął go od władzy. Wcześniej dwóch kolejnych prezydentów także przepędzały rewolucje: tulipanowa i kwietniowa. Wszyscy obiecywali zerwać z korupcją, jednoczyć ten biedny 6,5-milionowy kraj i dzielić się władzą, ale szybko uciekali w autokratyzm.

Teraz w powstałą próżnię najlepiej wpisał się 51-letni Dżaparow, szybko został premierem i p.o. prezydenta, ujawniając przy okazji spory talent populistyczny. Sprawnie naobiecował zerwanie z korupcją i błędami poprzedników, gdzie mógł, poumieszczał swoich ziomków oraz wciągnął państwową maszynę do kampanii wyborczej. Wyborom towarzyszyła konsultacja społeczna na temat umocnienia władzy prezydenckiej i zmian w konstytucji, także zaakceptowanych przez wyborców. Obserwatorzy skomplikowanych miejscowych układanki obawiają się, że tak oto wyrasta nowy silny człowiek.



Gorączka rewolucji i przewrotów wynika głównie z tego, że obok silnych podziałów klanowych istnieją właściwie dwa Kirgistan, odseparowane górami: Południe i Północ. Południe jest rolnicze, konserwatywne, z odradzającym się islamem; Północ – bardziej przemysłowa i silnie poradziecka. ZSRR szanował ten odwieczny podział, rotacyjnie mianując pierwszych sekretarzy partii z obu krain. Za niepodległości w tej kwestii nic się nie zmieniło: prezydenci też rządili naprzemiennie. Teraz górą jest Północ. Pytanie: na jak długo?

Wikipedia jubilatka



Ta najpopularniejsza internetowa encyklopedia, i jednocześnie największy uporządkowany cyfrowy zasób wiedzy, kończy 15 stycznia już (dopiero?) dwadzieścia lat. Ponad 55 mln artykułów w ponad 300 językach, wersja angielskojęzyczna liczy 6,2 mln haseł, polskojęzyczna 1,5 mln.

Jeśli trzymać się teorii, projekt nie powinien nigdy powstać, bo oparty jest na systematycznej nieodpłatnej pracy wolontariuszy. To dobre do jednorazowych akcji, a nie do budowy czegoś tak poważnego, jak światowa encyklopedia. A to właśnie otwarcie pomysłu na wszystkich chętnych, niezależnie od formalnych tytułów i naukowych stopni, wyzwoliło społeczną energię, która do dziś napędza rozwój Wikipedii.

To pospolite ruszenie amatorów rozwiązało kolejny kluczowy dla encyklopedii problem – jakości haseł. Przynajmniej w wersji angielskojęzycznej jest porównywalna z oferowaną przez encyklopedie tworzone w sposób tradycyjny (które zresztą przeżywają mocny kryzys). O sukcesie zdecydowała praktyka, która daleka jest od idealistycznych założeń. Dariusz Jemielniak w książce „Życie wirtualnych dzików” podsumowując etnograficzne badania nad społecznością wikipedystów pokazał, że jednym z silniejszych motywatorów zachęcających do pracy jest nie tylko chęć komunikowania prawdy o świecie, ale także konflikt, zderzenie racji. Wikipedia stała się symbolem kultury i wiedzy w czasach cyfrowych. Nie proponuje uporządkowanej hierarchii, ale bazę danych zawierającą zbiór haseł, których obszerność nie oznacza obiektywnej ważności tematu, tylko stopień zainteresowania nim przez wikipedystów. Użytkownikom to nie przeszkadza, Wikipedia stała się najważniejszym zasobem referencyjnym dla wszystkich, także dla nauczycieli i akademików, nawet jeśli swoim studentom zabraniają odwoływać się do „amatorskiej” encyklopedii.

Wikipedia to niezależny projekt społeczny, który powstaje przy minimalnym zaangażowaniu środków materialnych. Użytkownikom dostarcza jednak konkretnej wartości – roczna korzyść tylko mieszkańców USA z dostępu do nieodpłatnych wikipedycznych treści to ponad 40 mld dol. Nie brakuje też niezadowolonych z Wikipedii, to zwłaszcza ci, którzy są bohaterami ich zdaniem niedoskonałych lub błędnych artykułów. Wikipedysty odpowiadają: dołącz do nas i zacznij edytować, to najlepszy sposób na poprawę jakości. Bo Wikipedia to encyklopedia, którą każdy może redagować.

EDWIN BENDYK

W paszczę smoka

Tuż przed Nowym Rokiem Unia Europejska i Chiny zawarły umowę inwestycyjną (CAI). Dokument negocjowano aż 7 lat, ale w skrócie ułatwi on unijnym firmom eksport i inwestowanie w Państwie Środka. Skorzystają głównie producenci aut (tylko elektrycznych), firm telekomunikacyjnych i ubezpieczeniowych. Europejczycy będą chronieni przed wymuszaniem dotychczas od inwestorów zagranicznych transferem technologii i wspieraną przez państwo lokalną konkurencją. Ale do ratyfikacji umowy jeszcze daleko, bo wywołała ona w Europie falę kontrowersji. Pod koniec negocjacji Niemcy, którym kończyła się prezydentura w Unii, narzuciły tempo, ignorując obawy, że umowa będzie niezasłużonym prezentem geopolitycznym dla Chin. Z jednej strony państwa takie jak Belgia i Holandia oczekiwały wpisania do porozumienia wymogów socjalnych oraz gwarancji, że w chińskich fabrykach nie będzie wykorzystywana praca przymusowa. Z drugiej, Polska domagała się, aby zacząć na nową administrację w Waszyngtonie. Ludzie Joe Bidena nieoficjalnie apelowali do Europejczyków, aby ci wstrzymali się do wypracowania wspólnego, transatlantyckiego frontu wobec coraz bardziej agresywnych Chin.

Bilans Pekinu w starym roku rzeczywiście wygląda niepokojąco: likwidacja autonomii Hongkongu, starcia graniczne z Indiami, zastraszanie Australii, a w polityce wewnętrznej czystki etniczne na Ujgurach. Niemcy, ze swoją branżą samochodową, nie dopuścili jednak do powiązania spraw ekonomicznych i politycznych. Sama szefowa Komisji Europejskiej przekonywała wręcz, że umowa promuje „fundamentalne wartości” Europy. W odpowiedzi szef chińskiego MSZ Wang Yi pochwalił „strategiczną autonomię” Starego Kontynentu, nawiązując do idei prezydenta Francji, która odnosi się do uniezależnienia Europy od USA.



Change money

Reformy wprowadzające elementy kapitalizmu władze Kuby nazywają od lat „aktualizacją socjalizmu”. Od 1 stycznia na wyspie „zaktualizowano” walutę. Do tej pory istniały dwie: peso zwykłe i – od 2004 r. – peso wymienne. To ostatnie miało równowartość dolara, a wprowadzono je, by zmniejszyć niszczenie dla gospodarki kubańskiej skutki amerykańskich sankcji i urealnicić niektóre ceny. Teraz rząd likwiduje peso wymienne i rzuca zwykłe peso kubańskie na szerokie wody rynku. Ustalono odgórnie kurs wymiany: 24 peso za 1 dol.

Oznacza to, że można pójść do banku lub państwowego kantoru wymiany i za każdego dolara dostać 24 peso. W drugą stronę to jeszcze nie działa – państwo nie ma dość dewiz, by obywatele mogli za peso kupować

dolary. Mogą to robić tylko ci – i jedynie na lotnisku – którzy tego samego dnia podróżują za granicę i przedstawiają bilet lotniczy. Ale i wtedy mogą kupić tylko 300 dol.

Czy to faktyczna, choć na razie pełzająca, dolaryzacja gospodarki? Rząd zaprzecza, ale taki jest najwyraźniej sens „aktualizacji socjalizmu” 2021 r. Nieformalny rynek już zaktualizował „aktualizację”: niektóre portale donoszą, że ulica płaci za dolara między 40 a 46 peso, blisko dwa razy więcej niż bank. W tej sytuacji niewielu Kubańczyków, którzy otrzymują dolary od swoich rodzin z zagranicy – a takich jest bardzo wielu, bo to podstawa przetrwania – decyduje się na wymianę dolarów po oficjalnym kursie. Nie będzie dwóch różnych walut, ale będą dwa równoległe rynki: oficjalny i czarny. Przeciwczyliśmy to w PRL.

Wycofanie peso wymienne, wraz z niską siłą nabywczą jedynego peso, jakie pozostaje na polu gry, już wywołuje niepokoję. Rząd gwarantuje ceny podstawowych produktów, takich jak benzyna, prąd czy mleko dla niemowląt. Jednak wiele towarów pozostanie dla zarabiających w zwykłym peso niedostępnych. Reforma ta jest fragmentem szerszego pakietu zmian w polityce gospodarczej, a ich składową ma być wycofanie części rządowych subsydiów. Zmiany są wynikiem narastającego od kilku lat kryzysu – po kilku lepszych latach. Ciosem dla gospodarki Kuby była zapaść, w jakiej znalazła się Wenezuela, która wcześniej szczerze wspierała bratnią wyspę. Teraz dołożył się kryzys związany z pandemią i spadkiem dochodów z turystyki, która jest dla Kuby ważnym źródłem dewiz.



6 stycznia, waszyngtoński Kapitol.

Pejzaż po puczu

Ameryka dała świadectwo. Trudno o bardziej wyrazisty finał prezydentury Trumpa i groźną zapowiedź tego, co po niej.

TOMASZ ZALEWSKI **Z WASZYNGTONU**

Pierwsze opublikowane zdjęcia przypominały kadry z jakiegoś postapokaliptycznego filmu. 6 stycznia ujrzelśmy wnętrza amerykańskiego Kongresu, emanację pompy imperialnej władzy, gdzie w mahoniowych, obitych skórą fotelach nie siedzieli tym razem dżentelmeni w garniturach, tylko pstrokato ubrani młodzi osobnicy w tatuażach, z plecakami o podejrzaną zawartości. W biurze przewodniczącej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi mężczyzna w dżinsach i baseballowej czapce zostawił liścik: „Byłem tu, suko”. W hallu udekorowanym portretami narodowych bohaterów brodacze w kolorowej czapce z pompomem niósł z triumfem ukradzioną ozdobną mównicę. W tłumie plądrujących wyróżniał się zarośnięty przebieraniec w futrach i hełmie z rogami na głowie.

Aby przybyć do Waszyngtonu, zdobywcy Kapitolu musieli pokonać tysiące mil. Ten z rogami, 32-letni Jake Angeli, przybył z Arizony. Ma ksywę Szaman QAnon, bo jest wyznawcą teorii o spisku prominentów-pedofilów przeciw Ameryce. Próbuje swoich sił jako aktor. Nieproszony gość Pelosi to Richard Barnett, czyli Bigo, mieszkaniec Arkansas, z dumą

określający się jako biały nacjonalista. Jest szefem firmy budowlanej i współzałożycielem organizacji broniącej prawa do posiadania broni. Nick Ochs, działacz Proud Boys, przedstawiający się jako zawodowy dziennikarz, przyleciał aż z Hawajów. Odwrzuca oskarżenia o rasizm – ma przecież czarnoskórą żonę, a złośliwości pod adresem Afroamerykanów, Żydów i gejów publikuje w sieci z niechęcią do politycznej poprawności.

Społeczny profil watahy szturmującej Kapitol podważa stereotyp trumpisty jako troglodyty z klas ludowych.

W tłumie znaleźli się: prawnik z Teksasu, który podkreślał, że przyjechał „pokojo-wo demonstrować”, adiunkt z college'u w Pensylwanii, członek stanowej legislatury, który stracił już posadę za udział w puczu, i syn sędziego sądu w Nowym Jorku z literackimi aspiracjami. Jenna Ryan, właścicielka firmy nieruchomościowej w Teksasie, przyleciała do stolicy swoim prywatnym samolotem. Rokoszan łączyło jedno – fanatyczna determinacja, by wesprzeć prezydenta, któremu ukradziono wybory.

Niektórych już aresztowano, ale liczyli się z takim ryzykiem. Bigo powiedział, że gotów był umrzeć za sprawę. W starciach zginął policjant i czworo trumpistów,

w tym 37-letnia Ashley Babbitt. W Spring Valley w Kalifornii prowadziła z mężem firmę produkującą sprzęt do basenów, a w przeszłości służyła w siłach powietrznych USA. Była kontrolerem bezpieczeństwa w bazie w San Diego i w Iraku oraz Afganistanie. Jak opowiadają jej bliscy, wyróżniała się pasją swych przekonań, nie kryła ultrakonserwatywnych poglądów i uwielbienia dla prezydenta.

Niełatwo pojąć, jak to się stało, że na pastnikom udało się wtargnąć do świątyni amerykańskiej demokracji, otoczonej barierami z bramkami kontrolnymi i strzeżonej przez Capitol Police, liczącą 2200 ludzi straż parlamentarną. Jej funkcjonariusze pozwolili agresorom na taranowanie drzwi i tłuczenie szyb w oknach, a kiedy ci dostali się do środka, bezradnie cofali się przed nimi. Niektórzy usuwali im nawet z drogi ogrodzenia ochronne i robili sobie z nimi zdjęcia. Po godzinie przybyła na pomoc stołeczna policja w oporządzeniu do tłumienia rozruchów, wypchnęła zgraję na zewnątrz, ale niemal wszystkim pozwolono na swobodne opuszczenie gmachu. Dopiero później przystąpiono do aresztowań i stawiania wokół budynku dodatkowych barier.

Kompromitację służb tłumaczy się zaskoczeniem – jakoby spodziewano się, że tłum, który wyruszył w kierunku Kapitolu na wezwanie Trumpa, będzie „pokojo-wo demonstrować”.

Tymczasem z tweetów prezydenta jasno wynikało, że stara się rozpalic emocje do maksimum, data wiecu na Mallu znana była od dawna i wpisy na forach społecznościowych nie pozostawiały wątpliwości, że trumpiści planują okupację Kongresu. W plecakach aresztowanych znaleziono koktajle Mołotowa i taśmy do kneblowania zakładników. Oczekiwano jednak, że na wiec Trumpa przyjdzie najwyżej 20 tys. ludzi, a zjawili się trzy razy więcej. Służby wahały się



z wezwaniem do pomocy wojska, aby uniknąć konfrontacji, a kiedy tłum zaczął szturmować budynek, reagowano opieszale. Gubernator stanu Maryland, graniczącego z Waszyngtonem, proponował przysłanie gwardii narodowej, ale nie pozwolił na to szef Pentagonu, mianowany niedawno przez Trumpa.

Działacze afroamerykańscy nie mają wątpliwości – gdyby na Kapitol wyruszył marsz Black Lives Matter, gmach byłby dobrze przygotowany, a policjanci nie robiliby sobie selfie z jego uczestnikami. Trumpiści, którzy zaatakowali Kapitol, byli przekonani, że policja potraktuje ich łagodnie – jako fanów prezydenta. Policjant Brian Sicknick, który zginął, broniąc kongresmenów, był sympatykiem Trumpa.

Tłum szturmujący Kongres to awangarda trumpizmu, ale aż 75 proc. zwolenników Partii Republikańskiej wierzy, że wybory rzeczywiście zostały sfalszowane. Jak to wytłumaczyć, skoro roszczenia Trumpa, że ukradziono mu zwycięstwo, odrzuciły wszystkie sądy i władze sześciu stanów, w tym republikańskie. Winię tutaj jego kłamstwa, powielane przez ultrakonserwatywne media i sieci społecznościowe, ale szerzenie nieprawdy przez prawicę nie zaczęło się od Trumpa. Gwiazda telewizji Fox News Sean Hannity uprawia propagandę w goebbelsowskim stylu od ponad 20 lat. W 2008 r. mówił o „recesji Obamy”, chociaż świeżo wybrany prezydent nie wywołał ówczesnego kryzysu. W 2012 r. równie kłamliwie twierdził, że wybory w Pensylwanii zostały sfalszowane.

Prowadzona od czterech lat przez Trumpa kampania podjudzania fanów przeciw swoim wrogom stworzyła podatny grunt. 6 stycznia prezydent nie miał problemu z wysłaniem ich do szturm na Kongres. Wystarczyło powiedzieć na wiecu, że „trzeba okazać siłę”, by tysiące ludzi wyruszyły

przywołać do posłuchu krnąbrnych ustawodawców, przystępujących do zatwierdzenia wyborów. Kiedy napastnicy buszowali po Kapitolu, niszczyli sprzęty i bili się z policjantami, błagano Trumpa, by ich poskromił, ten jednak śledził wydarzenia z zachwytem i dopiero po godzinie wezwał ich do „powrotu do domu”, ale oświadczył, że ich „kocham, bo są wspaniali”.

Oskarżenie o podżeganie do rebelii przeciw legalnym władzom formułują już nie tylko Demokraci i inni krytycy prezydenta. Padają zarzuty zdrady stanu i ostrzeżenia, że Trump stał się zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju i choć do końca jego kadencji pozostało kilkanaście dni, nie można ryzykować, by nadal miał dostęp do kodów nuklearnych. Do rezygnacji z urzędu wezwał go nawet konserwatywny „Wall Street Journal” i kilkoro polityków republikańskich.

Z Białego Domu dotarły sygnały, żeby na to nie liczyć. Zaproponowano więc zastosowanie 25. poprawki do konstytucji, na podstawie której prezydenta można tymczasowo pozbawić władzy, gdy jest niezdolny do jej pełnienia z powodu utraty zdrowia, w tym psychicznego. Wymaga to jednak zgody wiceprezydenta i większości gabinetu. Mike Pence jej nie wykluczył, ale Pelosi z Demokratami ogłosiła też „plan B” – impeachment. Sformułowano zarzuty, m.in. podżeganie do powstania, a więc działalność wywrotową. Kiedy ten tekst dotrze do czytelnika, będą one już prawdopodobnie uchwalone przez Izbę Reprezentantów.

Trudno sobie wyobrazić inny czyn – poza morderstwem – który bardziej niż podżeganie do obalenia legalnego rządu podpadałby pod kategorię „poważnych zbrodni lub wykroczeń”, uzasadniających w konstytucji usunięcie prezydenta z urzędu przez Kongres. Trump jest pierwszym prezydentem USA, wobec którego uruchomiono procedurę impeachmentu po raz

drugi – pierwsza próba zakończyła się rok temu jego „uniewinnieniem”. Gdyby tym razem Senat wyeksmitował Trumpa z Białego Domu, nie mógłby on ubiegać się o ponowną prezydenturę za cztery lata, na co ma ochotę. Do uznania prezydenta za winnego potrzeba dwóch trzecich głosów w Senacie. Ale lider republikańskiej większości Mitch McConnell oświadczył, że posiedzenie w sprawie impeachmentu zwoła najwcześniej 19 stycznia – w przeddzień inauguracji Bidena. Drugi impeachment Trumpa pozostanie więc prawdopodobnie aktem raczej symbolicznym. Chociaż prezydent zaczął się już przygotowywać na tę okoliczność – odczytał z telepromptera oświadczenie o potrzebie „uspokojenia temperamentów i przywrócenia spokoju”, obiecał „gładkie” przekazanie władzy.

Winę za kryzys z rozlewem krwi Trump dzieli z licznym gronem ultraprawicowych Republikanów, którzy poparli jego kontestację wyniku wyborów. Politycy ci, pod wodzą senatorów Teda Cruza i Josha Howleya – prawników po Harvardzie i Yale, zgłosili 6 stycznia „objekcje” wobec zatwierdzenia wyborów w sześciu stanach z argumentem, że zmieniono tam, z naruszeniem prawa, ordynację wyborczą, dopuszczając do masowego wczesnego głosowania przed ustawowym terminem 3 listopada i głosowania pocztą. W rzeczywistości zmian tych – uzasadnionych pandemią – dokonano zgodnie z prawem, za zgodą miejscowych władz stanowych, w większości republikańskich. Ultrasom to nie przeszkadzało, gdyż od zarania rządów Trumpa sekundowali jego tyradom o spisku „głębokiego państwa” i lewicy pod wodzą Sorosa przeciwko „prawdziwym Amerykanom”.

Ale odpowiedzialność za ponurą tragifarsę ponosi cała Partia Republikańska, a zwłaszcza jej politycy w Kongresie. ►